



Kryminał z myszką

15

**ŚMIERĆ  
PRZYSZŁA  
W POŁUDNIE**  
**KAPITAN LALEWICZ  
PROWADZI ŚLEDZTWO**

T a d e u s z  
K o s t e c k i

Tadeusz Kostecki

# ŚMIERĆ PRZYSZŁA W POŁUDNIE

Kryminał z myszką – Tom 15

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-50-2

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Kształt kominka musiał się przyśnić architektowi w niedobrym śnie. Ciężkie meble naśladowały coś, co w ogóle nie istniało. Były bardzo brzydkie. Ale ludzie czuli się tu dobrze.

– Jestem przekonana, że on to zrobił – uśmiechnęła się pani Siek.

Mówiono o morderstwie. Wiedziała jednak, że w uśmiechu jest jej twarzowo.

– Nie wolno pomijać współczynnika inteligencji – zaprotestował Roleński – tu nie było działania w afekcie.

– Jasne – pani Siek znowu się uśmiecha. Być może zresztą jest to jeszcze wciąż ten sam uśmiech. – Ani na chwilę nie zapominam. Była taka sztuka, potem film, *Świadek oskarżenia*...

– Była – Generał Ręczler usiłuje tłumić głos, ale i tak brzmi jak przed bardzo szerokim frontem wojska – tylko że nie widzę analogii. Cała pointa oparta na przepisie prawnym, który u nas nie istnieje.

– A jednak może być pewna analogia – profesor Sobczański układa na obrusie skomplikowaną figurę z nieużywanych wykałaczek – ściągnięcie całego impetu podejrzenia na punkt pozornie nieobronny...

– Racja – przerywa generał – wycofuje się w panice. Aż wstyd. Elementarz strategii.

– Gdyby pan konstruował zbrodnię – zabiera głos generałowa – byłaby chyba zbrodnią doskonałą.

Roleński potrząsa głową.

– Nie mógłbym sobie na to pozwolić. Doskonała to znaczy nie do wykrycia. A ja przecież żyję ze zbrodni.

– Mam na myśli prawdziwą zbrodnię.

Sobczański przeniósł dwie wykałaczki z lewej strony figury na prawą. Chwilę zastanawia się, potem wmontowuje w układ.

– Niech pani generałowa na naszego mecenasa pod tym względem nie liczy. Jak kto wyładuje pisaniem swoje zbrodnicze instynkty, to mu się już prawdziwej zbrodni zmajstrować nie chce. Czyż nie tak?

Generałowa jednak nie uznawała niedopowiedzeń. Chce, żeby oświadczył się Roleński.

– Czy może pan sobie wyobrazić sytuację, w której jest pan zmuszony do popełnienia przestępstwa?

Roleński przygląda się lampie. Przed wojną podobne wisiały nad stołami rulet w sopockim kasynie.

– Cóż... – mówi powściągliwie – sędzę, że każdy człowiek może sobie taką sytuację w jakimś sensie wyobrazić.

– Przygotowując plan zbrodni, na czym oparłby pan przygotowanie swego alibi?

– Proste – profesor Sobczański przekłada jeszcze jedną wykałaczkę na prawo – na wczuciu się w tok rozumowania osoby, która będzie miała za zadanie wykrycie sprawcy. Oczywiście przyjmując najbardziej precyzyjną wersję tego rozumowania.

– Tak – potwierdza Roleński – właśnie na tym.

– Tandem: profesor logiki i autor powieści kryminalnych mógłby się stać jeszcze czymś gorszym niż Kuba Rozpruwacz – śmieje się generał.

– Zupełnie logiczne – uśmiech pani Siek jest wprost uroczy.

– A gdzie się podział nasz mecenas? – głos Ręczlera przebija się zwycięsko poprzez symfonię odgłosów kuchni idącej na pełnych obrotach. Przy wydawaniu deseru jeszcze wszystko szło na pełnych obrotach. Bo to były talerzyki, to były spodeczki, to były szklanki, to były łyżeczki, cukiernice i plasterki cytryny. To było dużo krzątania i bardzo dużo hałasu rozbitego na histerycznie wstępujące sekwencje poszczególnych brzęków.

Doktorowa Hrynowska patrzyła, niemal nie widząc, na talerzyki śmigające w rękach kucharki. Krem, ciasto, ciasto, krem, niewidzialna taśma pracowała rytmicznie i bez błędu. Głowę rozsadzał ból. Hrynowska miała za sobą trudny odcinek, każdy piątek był z reguły

niedobrym dniem, ale ten był chyba najgorszy ze wszystkich złych piątków. Nieustający poszum drzew jakby wałaca ze wszystkich stron woda. Hałas z zewnątrz nie roztopia się w hałasach kuchni. Nad głową stuka. Może na dachu, może w kominie. Stuka. Wiatr. Hrynowska nie znosi wiatru. Nie potrafi być sobą, gdy wieje wiatr. Znowu generał Ręczler mówi o Roleńskim. Nie słysząc odpowiedzi Magdy. Hrynowska odrywa oczy od talerzyków z ciastem i kremem. Dlaczego Roleńskiego jeszcze nie ma? Zawsze przychodził jeden z pierwszych. Coś błyska niewyraźnie, nagle bucha pełne światło. Przecież Roleński nie mógł przyjść.

– Jezus Maria! Róziu!

Rózia odstawia ostrożnie tacę z herbatą.

– Słucham?

– Zapomnieliśmy o profesorze Steinerze.

Rózia wlepia oczy w podłogę. Rzeczywiście wyszło nieładnie.

– W tym młynie, proszę pani kierowniczk... To może ja...

– Tak, niech Rózia bardzo pana profesora przeprosi. I jeżeliby chciał obiad do pokoju...

– Postaram mu się wytłumaczyć.

Po jej odejściu tempo od razu zaczyna utykać. Magda gubi się, talerzyki lecą jej z rąk. Kucharka łypie okiem.

– Magda to by tak więcej do wideł...

Lada chwila dziewczyna rozplącze się. Hrynowska zaciska palce. Jej nie wolno stracić panowania nad sobą.

– Niech się Magda nie przejmuję – uspokaja, tamtej ręce dygocą – nic nie szkodzi, że trochę wolniej. Aby tylko nie oblać nikogo herbatą.

– Och, Magda... – zaczyna kucharka, milknie jednak, zgaszona ostrym spojrzeniem Hrynowskiej. Tylko mocniej chlapnęła kremem dla zadokumentowania, że ona sobie nie pozwoli. Ale Magda nabrała nieco otuchy. W ostatnim momencie Hrynowska dla pewności zdejmując kilka herbat z tacy. Nadśłuchuje z niepokojem. Nikt nie toleruje chluśnięcia wrzątkiem. Dlaczego ta Rózia tak długo siedzi. Tą by po śmierć. Czyż nie zdaje sobie sprawy z tego, co tu się dzieje? Właściwie zresztą nic specjalnego się nie działo. Rozmowa przy stole płynęła wartko. Nikogo nie oblało herbatą. Ale w Hrynowskiej wszystko chodziło. Wiatr...

– Pana profesora nie ma.

Hrynowska mruga bezradnie oczyma. Co się jeszcze przydarzy tego dnia?

– Jak to nie ma?

– Nie ma. Pootwierał w pokoju wszystkie drzwi i okna, a sam gdzieś wyszedł.

– Więc pewno w łazience albo...

– Nie. Łazienka i ubikacja puste. Poszedł do parku. Zapomniał zegarka, pewno śpi na jakiej ławce. Jak się z Warszawy trafi na taką pogodę...

Palce Hrynowskiej obejmują grubą krawędź kuchennego stołu. Jest w tym wszystkim coś, czego nie można zrozumieć.

– Musiałabym go widzieć, gdyby schodził z góry. Sama Rózia wie, że nie można zejść, nie będąc widzianym w kancelarii.

Rózia rozkłada ręce.

– To już ja nie wiem. Na piętrze go nie ma.

– Musi być.

– Gdzie? – Rózia nie umie pohamować złości. Nie jest dzieckiem, aby dała sobie wmawiać. Widziała na własne oczy.

Hrynowska przesuwając ręką po czole. Nie schodził, nie ma go nigdzie tam, gdzie mógłby się znajdować.

– Czy Rózia sprawdzała inne pokoje?

– Po co?  
– Mógł się pomylić. Człowiek rozespany się nie rozgląda. Każde łóżko jest dla niego tym samym łóżkiem.  
– Ale przecież przedpokój. Jeden jedyny na całym piętrze. Ósemkę sprawdzałam. Zamknięta.

– Co mi tu będzie Rózia przedpokojem – niecierpliwi się. – Profesor jest tu po raz pierwszy, skąd może, budząc się, o takich rzeczach pamiętać? Niektórzy, wstając w przerwie snu, nawet oczu nie otwierają. Poszedł do łazienki, wrócił do innego pokoju, położył się, śpi dalej. – Nagle przestraszyła się. – A jeżeli zasnął?

Wiele z opowiadania Hrynowskiej nie zostanie utrwalone w protokole. Przynajmniej, jeżeli chodzi o pierwszy, sporządzony tego samego dnia. Zdaniem kapitana Lalewicza charakter sprawy czynił zbędnym odtwarzanie zbyt wielkiej liczby szczegółów.

Okazało się, że Rózia miała rację. Wszystkie pokoje poza dziewiątką były zamknięte na klucz. W dziewiątce za to na przestrzał. Drzwi balkonowe i okno biegnące prawie przez szerokość całej ściany, z drzwiami do przedpokoju, te znów z drzwiami na korytarz. Hrynowska dostawała gęsiej skórki. Przeciąg to jeszcze coś gorszego niż wiatr. Niemal słyszała wycie skotłowanych podmuchów. Przechodząc te parę kroków, aby wyjrzeć na balkon, miała uczucie, jakby ją wciągało dziesiątki wirów. Dopiero później zorientowała się, że starczyło zamknąć drzwi do przedpokoju. Zamknęła je zaraz. W pokoju od razu zrobiło się spokojniej. Steiner pootwierał wszystko, co było do otwarcia i poszedł. Dokąd? Wbrew początkowemu przypuszczeniu nie mógł wejść do innego pokoju. Rózia mówi „zapomniał zegarka i śpi w parku”. Zegarek leży na blacie szafki nocnej. Duży, płaski, złoty. Schaffhasen. Nie powinno się zostawiać tak drogich zegarków w otwartym pokoju. W jaki sposób mógł zejść i opuścić dom, aby tego nie zauważyła? Z kancelarii widać dokładnie dolny odcinek pierwszego biegu schodów. Stopnie głośno trzeszczą przy każdym kroku. Musiałaby zauważyć. Pozostawała w kancelarii aż do samego obiadu. Ale w takim razie...

Nie, nie potrafiła tego wszystkiego zrozumieć.

Na szaragach wisi marynarka i włoski płaszcz z ortalionu. Obok łóżka nieco zakurzone pantofle. Prawdopodobnie te, w których przyjechał. Jedna walizka stoi na podłodze zamknięta. Zawartość drugiej, rozłożonej na leniwcu, skotłowana w taki sposób, jak to się robi ze złości, że nie można czegoś znaleźć. Kłębowisko krawatów spływa aż na podłogę.

Zapach. Niezbyt intensywny, ale przecież łatwy do wyodrębnienia. Jakies chemikalia. Co tu mają do roboty chemikalia?

Hrynowska podchodzi do szafy w ścianie. Ale wewnątrz jej jest zupełnie puste. Tuż obok zatrzaśnięte drzwi umywalni. Nisza nie wchodzi w rachubę jako ewentualne miejsce pobytu Steinera. W zamkniętej nikt by się nie zmieścił. Ale ten zapach... Hrynowska naciska klamkę. Drzwi otwierają się z impetem jakby pchnięte z tamtej strony. Hrynowska odskakuje instynktownie. Do jej nóg ciężko się wali skurczone nienaturalnie ciało mężczyzny w jedwabnej pidżamie. Szkliste oczy wysadzone z orbit. Steiner.

Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę z tego, że krzyczy. Że krzyczy najgłośniejszym, jak tylko potrafi. I że krzyk ten nie wywołuje żadnego echa. Umilkła. To nie miało sensu. I tak nikt nie usłyszy. Na piętrze ani żywej duszy. Wszyscy w jadalni i kuchni. Tam na pewno jest wystarczająco głośno, aby nie dotarł żaden odgłos z zewnątrz. Nie pozostawało nic innego, jak zejść na dół. Przedtem jednak zajmie się doraźnie Steinere. Spróbuje go wwindować na łóżko. Lepiej nie zostawiać w tej pozycji. Chce zbadać puls, ujmując nadgarstek. Puszczając go natychmiast. Ogarnia ją nowa fala przerażenia. Ten człowiek chyba nie żyje. W pierwszym odruchu chce zwołać wszystkich. Niech przyjdą, niech zobaczą. Podczas gdy oni jedli befsztyki, gdy jedli deser. Potem rodzą się refleksje. Jeżeli nie żyje... Hrynowska zmusza się, aby dotknąć jeszcze raz ręki leżącego. Nie, pulsu nie ma z całą

pewnością. Tu już nikt nie jest w stanie pomóc. Jaki więc cel podnosić alarm? Generałowa Ręczler jest poważnie chora na serce. Gdyby taka wiadomość spadła na nią zniecierpliwiona... Potem, gdy na miejscu będzie milicja, gdy przyjdzie doktor. Tak, wtedy zupełnie co innego.

Hrynowska zamyka na klucz drzwi do przedpokoju, następnie te drugie, wychodzące na korytarz. Przewiesza się przez poręcz schodów. W hallu pusto. Kuchnia wciąż jeszcze tętni ruchem, ale mało prawdopodobne, aby stamtąd ktoś teraz wyszedł do hallu. Hrynowska przemyka się do kancelarii, stopnie schodów oczywiście trzeszczą. Zamknąwszy za sobą drzwi, wyjmując klucz. Po co mają wiedzieć, że jest tutaj?

Pospieszne kroki. Musiano jednak zauważyć. Pukanie, początkowo dyskretne, staje się coraz głośniejsze, coraz bardziej natręcyjne. Ktoś naciska klamkę. Łomocę. Klamka porusza się jeszcze kilka razy.

– Pani kierowniczo! Niech Pani otworzy. To ja. Różia.

Hrynowska nie daje znaku życia. Różia? Oczywiście, że tak. Wiedziała o tym od pierwszej chwili. Wystarczyłoby słówko, aby wzniciła popłoch w całym domu.

Jeszcze dobija się, wreszcie dudnienie oddalających się kroków. Albo uwierzyła, że w kancelarii nie ma nikogo, albo wie, że i tak jej nie otworzę. W każdym razie odchodzi. Hrynowska dla pewności woli poczekać. Podejmuje słuchawkę po tym, jak stuknęły drzwi od kuchni. Wykręca numer Powiatowej Komendy MO. Prosi o połączenie z kapitanem Lalewiczem. Miała już z nim kiedyś do czynienia.

– Zdarzyło się nieszczęście – głos jej brzmi raczej rzeczowo. – Jeden z naszych gości, profesor Steiner, zadusił się w umywalni. Tak, nie żyje.

Dopiero przybycie milicji uświadomiło mieszkańcom Naukowa, że zaszło coś niezwykłego. Przynajmniej taką właśnie wersję podała Hrynowska kapitanowi Lalewiczowi.

Z niszy bije ostra woń chemikaliów. Rozpieczętowana paczka popularnego środka do czyszczenia trixi stoi na mydelniczce, brakująca w paczce część proszku jest rozsypała grubą warstwą na dnie umywalni. Otwór odpływowy zamknięty kauczkową zatyczką. Szare spodnie z przyczepionymi szelkami wiszą częściowo na niklowanych drążkach od ręczników, nogawki opierają się o krawędź miski. Na lewej nogawce powyżej kolana duża plama od tłuszczu, najprawdopodobniej płynnego.

– Osiemdziesiąt na osiemdziesiąt, na dwieście – dyktuje porucznik Łącki.

– Precyzyjnie dopasowane – wtrąca Lalewicz. – Bo jak denat jeszcze nie był denatem i stał przodem do miski, swoje trzydzieści pięć centymetrów przestrzeni musiał zabierać. Jak pan sądzi, doktorze?

Doktor Bolko zapala papierosa.

– Co najmniej tyle.

– No więc miska czterdzieści pięć, kandydat na denata trzydzieści pięć, całe osiemdziesiąt głębokości jak oszył. Ani centymetra tolerancji.

– Jeżeli do tego nachylił się jeszcze nad miską – podporucznik Turek jest dopiero co po szkole i uważa, że powinien jak najczęściej zabierać głos.

– Jakby się nachylił, toby nam cały scenariusz poszedł w diabły. Bo gdy się ktoś z jednej strony nachyla, to z drugiej się wypina. Tylko nie doszukujcie się jakichś ukrytych aluzji. Ja w sensie dosłownym. Wypięty nie mieści się w naszych osiemdziesięciu centymetrach.

– Drzwi go mogły docisnąć – upiera się Turek.

– Proszę uprzejmie. Niech dociskają. Ale to raczej już nie w ramach miejscowego przeciągu. Trzeba by sprowadzić jakieś tornado z mórz południowych. Po drugie, co w takim wypadku każecie zrobić z gałką wieszaka?

– Cholera – klnie z rezygnacją Turek. – Wieszak mnie dorżnął.



– Bądźmy łagodni – Bolkoś zdążył sobie wypracować specjalny rodzaj uśmiešku, który nie razi w obecności zwłok – raczej jednak mego pacjenta.

– Ale tego doktor nie napisze – stwierdza melancholijnie Lalewicz.

– Bo nie wiedziałem. Napiszę: najprawdopodobniej. Ustalam wynacznienie wielkości i kształtu dwuzłotówki u podstawy czaszki. Owszem, mogło spowodować zamroczenie. Owszem, wszystko wskazuje na gałkę wieszaka. Ale nie można wykluczyć innego narzędzia.

– Wierzy pan w to inne narzędzie?

– To inna sprawa. Ale teoretycznie mogło być.

– Po wewnętrznej stronie drzwi – dyktuje dalej Łacki – na wysokości sto pięćdziesiąt centymetrów od podłogi, przykręcony pojedynczy wieszak z białego metalu. Gałka również metalowa. Odległość jej od podstawy piętnaście centymetrów.

– Genialny pomysł – komentuje doktor – każdego człowieka musi uderzyć w kark gdzieś pomiędzy pierwszym kręgiem szyjnym a podstawą czaszki.

– Tylko nie każdego – protestuje Lalewicz.

– Słusznie – godzi się doktor. – Wyłącznie dla dorosłych o przeciętnym wzroście w granicach metr sześćdziesiąt trzy – metr siedemdziesiąt pięć.

– Tych przeciętnych także nie musi.

– Jak to? – dziwi się doktor.

– Bo to jest szerzenie paniki, kochany doktorze – śmieje się Lalewicz. – Przez trzydzieści lat setki przeciętniaków korzystało z umywalni i żadnego nigdy nic, a pan, że koniecznie.

– Gdzie jest powiedziane, że nigdy nic?

– Tu – Lalewicz stuka paznokciem w wieszak – jeśli by kogoś rąbnął, toby odkręcili, tak jak odkręcili klamkę od tej strony.

– Jasne – znowu zabiera głos Turek – stuknęła kogoś w wypiętą stronę medalu, to i wyrzucili na zbity śmietnik. Zresztą po lichu była tu potrzebna. To nie jest nisza do zamykania się wewnątrz.

– Mówiąc między nami – doktor przydusza z namysłem niedopałek papierosa – Steinerowi ta klamka by się jednak przydała.

– Facet miał cholernego pecha. No rąbie go ten wieszak w kark. Jeżeli się nie schyli, drzwi nie mogą się zatrzasnąć, właśnie ten wieszak nie pozwala. Jeżeli się schyli wcześniej, siedzenie odgrywa rolę zderzaka. A u niego wszystko musiało się akurat zsynchronizować.

– A ja to niby nie mam pecha – Lalewicz patrzy spod oka na nieruchomą postać w pasiastej pidżamie. – Profesor Ernest Steiner, fizyka jądrowa i te rzeczy. Tu każdy szczegół będą brali pod lupę. Akurat musiał z tym swoim trixi paść na nasze ręce.

– Ba – wydyma wargi doktor – od tego Naukowo.

– Właśnie – potwierdza Łacki. – Wśród takich Bardzo Ważnych Osób wszystko może wystrzelić. Wziąć choćby ten płaszcz.

– Jaki znów płaszcz? – doktor nie wie, o co chodzi.

– Ukradli z hallu. Chyba ze trzy lata temu. Płaszcz zagraniczny, do hallu prawie przez całą dobę dostęp otwarty, dlaczego niby nie mieli ukraść? A sęk w osobie właściciela. KG wisiała na drucie, jakby już nic innego nie było do roboty.

– Wisiała – kiwa smętnie głową Lalewicz. – Im też musieli wisieć. A płaszcz i tak nie odnaleźliśmy.

– Chyba jednak trudno sprowadzać płaszcz i człowieka do wspólnego mianownika – obrusza się doktor.

– Nie – potrząsa głową Lalewicz. – Wcale nie tak trudno. W jakimś sensie ten wspólny mianownik tu jednak jest.

Doktor z całym zaufaniem podsunął paczkę Lalewiczowi, a ten wziął papierosa bez żadnych oporów. Dziś nie mógł dostać extra mocnych. Tym razem nie pomogły kumoterskie chody.

Pomimo otwartego okna i drzwi balkonowych, w pokoju jest szaro od dymu. Byli już zmęczeni. Zwłoki zabrano. Fotograf Metelski zagwarantował delikatesowy komplet zdjęć i wyniósł się na ławkę do parku. Musiał czekać na resztę ekipy. Te kilka kilometrów piachu znaczyło dla samochodu więcej niż kilkadziesiąt po przyzwoitej drodze. Doktor podał ognia, jakby go ten extra mocny, wydarty spod serca, wcale nie przejął.

– Tak sobie myślę – postukał paznokciem w szkiełko zegarka – czy mi się opłaci wracać do domu...

– Doktor Sobański, sanatorium dziecięce, brydż – recytował Łacki – zgadza się?

– Jak Sobański, to już nie brydż – Lalewicz zaciąga się chciwie. Dukaty zostawiały smak siana. – Grałem z nim o jeden raz za dużo.

– I to był zarazem pierwszy raz? – domyśla się Turek.

– Uhum. – Lalewicz rozmyśla, że trzeba będzie jeszcze przesłuchać Hrynowską i tę pokojową, która zajmowała się Steinerem. Oczywiście w tych warunkach musi to zrobić sam.

Doktor zaczyna się zbierać.

– Ja z minimalistów. Lubi się co akurat pod ręką. A nalewkę jego piliście?

– A nalewki jego nie piłem. Takie moje garbate szczęście. Dopust brydżowy spotkał mnie na neutralnym terenie.

– Jeśli wam szkoda samochodu, to przejdę się spacerkiem – mówi niezdecydowanie doktor – ostatecznie te pół kilometra.

– Dwa i pół – poprawia Lalewicz. – Ale nam nie szkoda samochodu. Nam szkoda doktora. Musi pan koniecznie już?

– Nie muszę. Ale do nocy tu z wami siedzieć nie będę. Sobańskiemu byłoby przykro, gdybym się zameldował akurat po skończonej kolacji. No, więc wykładaj pan swoje pytania.

– Nie przewiduje pan przesunięcia momentu zgonu?

– Raczej nie. Jak się przychodzi na świeżo, każdy potrafi być za rebego. Jedenasta trzydzieści – trzynasta. Przyczyna oczywiście, aż do przeprowadzenia badań narządów wewnętrznych, jak najbardziej hipotetyczna.

– To już z urzędu – Lalewicz ma taką minę, jakby chciał ziewać. – Bo inna trucizna, bo brak tlenu, bo zawał, bo tysiąc i jeden różności. Ale ja hipotetycznie: trujące składniki lotne, zawarte w trixi. No więc jak długo go truły, zanim wysiadł?

– Hm... – doktor ugniata mięsisty podbródek. – A jak ze szczelnością?

Łacki zamyka, otwiera, znowu zamyka. Dyktuje – próg dębowy wysokości dwa przecinek siedemdziesiąt osiem setnych centymetra. Żadnych otworów wentylacyjnych – odwraca się ku doktorowi – szczelność prawie hermetyczna.

– Co sobie żałować – dogaduje Lalewicz. – Tylko skąd w takim razie Hrynowska poczuła trixi?

– Jeżeli poczuła – Łacki prawie przytyka nos do linii zetknięcia płyty drzwi z futryną. – No, rzeczywiście, trochę jednak – przyznaje niechętnie. – W każdym razie wystarczająco szczelnie, żeby się Steiner zatrul.

– Precyzja wyższej klasy – śmieje się Lalewicz. – Teraz już doktor wszystko wie. No więc uwzględniając taką niezupełnie szczelność, jak pan określa czas?

– Od kilkunastu do kilkadziesiątu minut.

– Tyż piknie. Jak Kuba Bogu...

– Powiedzmy przy takiej marnej kondycji, bliżej kilkunastu. Trzeba również uwzględnić odległość ust i nosa od preparatu.



– Mam – podskakuje Turek. Już jest przy umywalni. – No, oczywiście, teraz wszystko jasne. Steiner nie musiał się nachylać. On się tak jakby złamał. Od pierwszej chwili nurtowało mnie, że coś tu nie tak.

– Brawo – podchodzi Lalewicz. – Słonia to się nie zauważyło. No, gwarantuję za pełny metr.

– Metr pięć – wymierza Łacki. Od tego trzeba było w ogóle zacząć. Próbuje robić dobrą minę, ale mu nie wychodzi. Żeby takie początkujące szczenię... Potem znów jest zły, że jest zły. Nie po koleżeńsku.

– Metr pięć – Lalewicz aż zagwizdał. – Bagatela. Dwadzieścia centymetrów wyżej normy.

– Od razu mi się wydawało, że wyżej – stwierdza doktor.

– Od razu – Łacki wreszcie znalazł ofiarę – wszystkim się wydawało, wszyscy wiedzieli. Ale strzelił dopiero Turek. Niech ma, choć jeszcze niewypierzony. Może nie pomyślałem, że to ja powinienem być zauważyć, a nie on? Owszem, pomyślałem. Piszcie – dyktuje dalej – miska umywalni umieszczona na wysokości stu pięciu centymetrów od podłogi.

– Poleżał sobie, może spał – ciągnie dalej Lalewicz – powiedzmy do jedenastej. Nie, raczej do dwunastej. No i potem chce czyścić te spodnie...

– Trzy garnitury z importowanej setki – wydziwia Łacki – człowiek ledwie zipie...

– Naukowiec – mówi Lalewicz w taki sposób, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Różne bywają formy relaksu dla przemęczonego umysłu – komentuje doktor. – Człowiek zmuszony do precyzyjnej ścisłości przy pracy, w życiu prywatnym często ucieka na przeciwny biegun. Naturalne byłoby wzięcie innych spodni.

– Zapłacił za swój relaks...

– Nie – uśmiecha się doktor – on zapłacił za BHP.

– Paradoks, ale prawdziwy – przyznaje Lalewicz – gdyby nie urządził wentylacji w celu wywietrzenia trujących wyziewów trixi, nie zatrulby się tymi wyziewami.

– Dobrze – Łacki naprawdę jest zachwycony.

– Ale dlaczego nie zastawił sobie tych drzwi choćby krzesłem, jak mu się majtały w przeciągu? – zastanawia się Turek.

– Bo mu się na pewno nie majtały – odpowiada Łacki. – Podmuchał dopiero w momencie otworzenia drzwi wejściowych na dole.

– I ja tak myślę – wtóruje Lalewicz. – Dmuchało, akurat stał wyprostowany. Jak pan sądzi, doktorze, ocknął się przed śmiercią?

– Ja sądzę, że albo się ocknął, albo się nie ocknął. Zamroczenie po trzepnięciu wieszakiem powinno być wprawdzie przejściowe, ale jednocześnie zaczynało działać zatrucie lotnymi substancjami trixi. Nigdy się nie dowiemy, jak z tym było.

Turek zakrada się do niszy.

– Miał szczęście, jeżeli się nie ocknął. To musi być paskudne uczucie, odzyskać przytomność w takiej komorze gazowej. Z każdą chwilą człowiek coraz jaśniej zdaje sobie sprawę, że stąd nie ma wyjścia. Chyba nawet nie mógł się odwrócić przodem do drzwi.

– Z całą pewnością nie mógł – potakuje Lalewicz – gdyby nawet był o połowę szczuplejszy.

– Zresztą niewiele by mu pomogło. Klamki nie ma, a wysadzić takie drzwi z zawiasów...

– Przyjmijmy, że się ocknął – podejmuje Lalewicz. – Krzyków za Boga nikt nie usłyszy, na całym piętrze żywego ducha. A jeszcze te męciutkie ciapki na nogach. Ani kopnąć porządnie, ani co. Rzeczywiście wszystkie okoliczności miał przeciwko sobie.

– Mogę wam podać sprawcę – doktor znowu patrzy na zegarek.

– Sztuka – przeciąga Lalewicz – pan profesor Ernest Steiner.

- Pośredniego – doktor tym razem zdecydowanie zabiera się do wyjścia.
- Architekt. Pewnie od dawna powiększył grono aniołków.
- Nie ma trafienia. Magister chemii... no, ja wam odnajdę ten artykuł. Chyba w którejś z niedzielnych gazet.
- Co tu ma do rzeczy artykuł w gazecie? – wzrusza ramionami Turek. Jest zły, że mu się nic nie kojarzy.
- Przy misce umywalni umysł miał tę lotność – śmieje się Łacki – a na prasę już nie starcza. Artykuł o niebezpieczeństwie używania trixi w zamkniętym pomieszczeniu, dobrze się domyśliłem, doktorze?
- Prosto w dziesiątkę – doktor zapina guziki płaszcza, potem odpina je z powrotem. Ciepło jak w lipcu. Ale jeszcze nie lipiec. Wieczorem płaszcz się przyda.
- Założę się, że po prostu czytałeś ten artykuł – domyśla się Turek.
- No to co, że czytałem? Trzeba rozszerzać światopogląd. Ten magister... Nie, to był chyba docent... Hm... Wściekliński?
- Wściekliński – doktor bierze walizeczkę i stwierdza z niesmakiem, że znowu brzęczą instrumenty. Jak felczer pakuje, można choćby rzucać. Sam jakoś nie potrafi. – Skleroza, psiakrew. Choć, prawdę mówiąc, do nazwisk to od najmłodszych lat...
- Podniósł alarm na sto dwa – ciągnie Łacki – żeby nie sprzedawać prywatnie, tylko pralniom.
- Miał rację – doktor zatrzymuje się przy drzwiach.
- Miał – wzdycha Łacki – mnie też już mdli od tego zapachu. Będziecie mieli dodatkową sekcję.
- Profilaktycznie ordynuję kielicha.
- Dziś po służbie, to będzie dopiero jutro. Nasz wódz nie z tych, co dają ludziom żyć.
- Ja właśnie po tej linii. Jeżeli wam Metelski niepotrzebny... W dziecięcym nie zawsze da się zmontować czwórkę.

Elżbieta Hrynowska, lat sześćdziesiąt pięć, sprawia jednak wrażenia znacznie młodszej. Kierowniczka Domu Pracy Twórczej „Naukowo”. Lalewicz zetknął się z nią parokrotnie, ostatni raz chyba z okazji tego nieszczęsnego płaszcza Bardzo Ważnej Osoby.

- Profesor Ernest Steiner przyjechał o godzinie dziewiątej rano. Był bardzo przemęczony, może nawet niezupełnie zdrow. Przydzieliłam mu dziewiątkę, ze względu na przedpokój, który pozwala w znacznej mierze odizolować się od hałasów. Balkon również położony jest wyjątkowo zacisznie. No cóż, Steiner przyszedł do kancelarii, przedstawił się, wręczył odcinek skierowania i kwit kasowy. Powiedział, że chce się jak najprędzej położyć, ale na obiad zejdzie w każdym razie. Jeżeliby przespał gong, prosi, żeby go obudzić. Wypełnienie druczków meldunkowych odłożył na popołudnie. Do pokoju zaprowadziła go pokojowa Próchnik. Ona też zaniósła jego walizki.
- Z tego wynika, że do Naukowa przyjechał po raz pierwszy?
- Tak. Nigdy go przedtem nie spotkałam.
- Czy mówił coś jeszcze?
- Nic.
- Powiedziała pani, że był bardzo przemęczony, może nawet niezdrow. Na czym pani to opiera?
- Dość było na niego spojrzeć. Cera ziemista, oczy zgaszone. Zresztą jeżeli ktoś po trwającej niecałą godzinę jeździe samochodem myśli jedynie o jak najszybszym położeniu się do łóżka...
- Nie posłała pani pokojowej, aby go obudziła, gdy nie zszedł zaraz po gongu. Dlaczego?

– Zapomniałam o jego prośbie. Szczerze mówiąc, w ogóle zapomniałam o jego istnieniu. Miałam ciężki dzień. W każdy piątek przyjmujemy transport większości produktów na cały tydzień. Kucharka je sprawdza. Ponieważ jednocześnie przygotowuje obiad, wszystko odbywa się w atmosferze zdenerwowania. Szczególnie gdy wynikają pomiędzy nią a panem Komosą różnice poglądów co do jakości.

– Pan Komosa? – wtrąca pytająco Lalewicz.

– Ach tak. Przepraszam. Pan Komosa zajmuje się dostawą. Jest dosyć uparty, no a kucharka nie zawsze potrafi panować nad sobą. Niekiedy dochodzi do scysji, może zbyt głośnych. Gdy się w podobnych warunkach uzgadnia wykaz, łatwo można przeoczyć jakiś błąd. Dzisiaj zważył się na nas cały komplet: i różnice w poglądach, i głośnie scysje, i wielogodzinne szukanie omyłki w wykazach. Skończyliśmy uzgadnianie bezpośrednio przed uderzeniem gongu. A już od tej chwili muszę być w kuchni, by asystować przy wydawaniu porcji. O Steinerze przypomniałam sobie dopiero podczas roznoszenia deseru. – Hrynowska opowiada, jak posłała Rózię i jak później poszła sama. – Nigdy bym nie przypuszczała, że w zamkniętej niszcy może się ktoś zmieścić.

– Nigdy przedtem nie zdarzyło się nic w tym rodzaju?

– Nigdy.

– Czy pani dopuszcza możliwość, że Steiner zdobył trixi tutaj, w Naukowie?

– To jest zupełnie wykluczone. Pokój był uprzątnięty dziś rano. Nie przeoczonoby takiej rzeczy. U nas się w ogóle trixi nie używa. Mam na myśli oczywiście personel. Jeżeli chodzi o gości, nie rozporządzam w tym zakresie żadnymi informacjami. Ale jedyny zajęty oprócz dziesiątki pokój na piętrze był przez cały czas zamknięty na klucz.

Rozalia Próchnik, lat dwadzieścia dwa, wykształcenie podstawowe. Wysoka, postawna, mocno zbudowana, może nawet trochę przyciężka. Pokojowa. Pracuje w Naukowie od trzech lat. Pochodzi ze wsi. Rumieńce naturalne, ale brwi niewątpliwie pociągnięte tuszem. Ręce zadbane, o co na pewno niełatwo przy jej pracy. Skórka przy paznokciach wycięta. Jest zdenerwowana, głos roztrzęsiony, co zresztą Lalewicza zupełnie nie dziwi.

– Tak, to ja niosłam temu panu profesorowi walizki. Jak usłyszałam, że samochód podjeżdża, wybiegłam na taras.

– O której godzinie przyjechał?

– A skąd ja mogę... Na zegarek nie patrzałam. No, było już po ósmej, a przed dziesiątą, dużo przed dziesiątą. O dziesiątej przyjechał pan Komosa i przywiózł produkty.

Lalewicz ugniała papierosa. Tytoń jest suchy, kruszy się, jakaś wybrakowana paczka. Żeby coś podobnego wtrzytnąć komendantowi MO, to już całkiem nie z tej ziemi.

– To była taksówka?

– Tak.

– Warszawska?

– Tak. Trochę nawet się zdziwiłam, bo jak bezpośrednio z Warszawy, to przeważnie przyjeżdżają prywatnymi samochodami.

– Steiner wysiadł o własnych siłach?

– Tak. Kierowca wystawił z wozu walizki. Wzięłam je – zaprowadziłam pana Steinera do kancelarii, bo on tu był pierwszy raz.

– Czekala Rózia na niego w hallu?

– Z początku tak. Potem skoczyłam na chwilę do kuchni, bo śniadania rano nie zdążyłam skończyć.

– A potem?

– Wzięłam walizki i zaniósłam pod dziewiątkę. Pan profesor siedł za mną.

– Czy w jego wyglądzie coś zwróciło uwagę?

Chwila zastanowienia.

– W jego wyglądzie. Czy ja wiem? – pociera przez fartuch kolano. – Chyba tylko, że był taki zmarnowany.

– Bardzo był zmarnowany?

– Bardzo. Po tych schodach to ledwo, ledwo. Przystaje, sapie. Aż się obejrzałam. Jak tylko wszedł do pokoju, zaraz obiema rękami o krzesło i ani już tchu nie mógł złapać. Wystraszyłam się. Trzeba – myślę – po kierowniczkę, bo mi gotów zemdleć. Ale mu odległo. Więc powiedziałam, że wodę to tylko z karafki, bo ta w kranie do picia się nie nadaje i może mu co przynieść, herbaty albo do jedzenia. Powiedział, że za wszystko dziękuje, teraz się położy, do obiadu, żeby mu nie przeszkadzać. Na obiad zejdzie. Jeśliby zasnął, prosi, żeby go koniecznie obudzono. W czasie jak mu ścieliłam łóżko, zdjął płaszcz, marynarkę i zaczął rozsznurowywać buty. To już wszystko. Wysłam, więcej go nie widziałam.

– Czy to Rózia sprzątała przed przyjazdem Steinera pokój?

– Ja i Magda.

Magdę Lalewicz puszcza mimo uszu. Trzeba by zaraz przesłuchać, komu to w takiej sprawie potrzebne.

– Czy mogło się zdarzyć, że w pokoju znajdowała się paczka trixi? – pyta bez przekonania.

– Co też pan kapitan – obrusza się. – Jakby która tak sprzątała, pani kierowniczka nie ścierpiałaby ani trzech dni. Żadnego trixi tam nie było. W ogóle u nas się nie używa. Pani kierowniczka nie pozwala, bo zapach – powiada – szkodzi na zdrowie.

– Kto, oprócz Steinera, znajdował się na piętrze?

– Nikogogusieńko. Ja zaraz zbiegłam. W piątek to u nas urwanie głowy i każde ręce na rachunku.

– Nie wracała Rózia?

– Wróciłam, jak mnie pod koniec obiadu posłała pani kierowniczka.

– Przedtem nie?

– Nie było po co. Siódemkę posprzątałam w czasie śniadania. Pan generał Ręczler lubi mieć ze sobą klucz od pokoju. Reszta pokoi stoi wolna.

– Nikt inny też nie wchodził?

– Ze służby tylko ja zajmuję się piętrem. A wszyscy goście poszli zaraz po śniadaniu do lasu. Wrócili dopiero na sam obiad.

– O której tu jest obiad?

– Punktualnie o czternastej. Gong dajemy na dziesięć minut wcześniej.

– Profesor Steiner nie zszedł po gongu. Dlaczego Rózia nie poszła go obudzić, skoro tak o to prosił?

– Z głowy mi wyleciało. Dzień dziś taki, że tylko wrogom... szefowa z panem Komosą do oczu sobie o jedną szynkę, potem znów skreślili nie tę, pani kierowniczka aż do gongu siedziała nad wykazami, bo się nie zgadzały, a szefowa od zmysłów odchodziła, że befsztyki wyschną na wiór. Więc tego wszystkiego... A może – oczy jej rozszerza wyraz nagłego przerażenia – gdybym pamiętała i poszła go w czas obudzić... może on umarł przeze mnie?

Lalewicz wzruszył ramionami. Formalnie ustalenia dochodzenia stanowiły tajemnicę, sprawa jednak jest tak oczywista.

– Umarł jeszcze przed gongiem. Jak to było, gdy Rózia weszła do pokoju w czasie obiadu?

– Jak zobaczyłam, że go nie ma ani w pokoju, ani w łazience, ani w ubikacji, myślę sobie: nic, tylko przycupnęła na jakiejś ławce w parku i śpi. Zegarek zostawił, to nawet nie wie, że czas na obiad. Park wielki, gongu mógł nie usłyszeć.

– Żadnego zapachu Rózia nie poczuła?

– Nie. Chwalić Boga, że nie. Gdyby mi tak ni stąd, ni zowąd trup pod same nogi... Jezu. Chyba bym umarła na miejscu. Na samą myśl wszystko się we mnie...

Ręka nieświadomie sięga ku torebce. Palce dotykają zamknięcia. „Odruch warunkowy – myśli Hrynowska – gdy tylko zaboli w lewym boku...”

Dzisiaj znowu wiatr. Zerwał się jeszcze w nocy. Nie mogła zasnąć. Nieprzespana noc zawsze wytrąca ją z równowagi. I ten wiatr. W czasie wiatru jest jakby na wpół przytomna. Wiosna pełna wiatru. Grali sztukę o podobnym tytule. Nie, jednak chyba niezupełnie podobny. Ale coś się kojarzy. Co z tym oknem? Tego przecież nie można znieść.

– Okno! – woła. – Okno!

Nie słyszą. Kuchnia na wprost. Parę kroków. Drzwi uchylone. Wre swarliwy jazgot podnieconych głosów. Znowu kłótnia. Kucharka ciska garnkami. Ona też ma swój niedobry dzień. Często miewa niedobre dni. Ale jest doskonałą kucharką. To rzecz jasna decyduje. Okno łomocze alarmująco. Zaraz brzęknie tłukące się szkło. Hrynowska cała się kuli. Wszystko ostatecznie ma swoje granice.

– Róziu! – jakby wołała pomocy. Z całą pewnością jest w kuchni. Hrynowska poznała jej głos. – Róziu! – Tuż obok pełno ludzi. Powinni być na każde wezwanie, ale w tym harmidrze... Zupełnie jak na pustyni.

Aż ochrypla. Pójdę po nią – zaczyna niemrawo zwlekać się z fotela. Właśnie w tym momencie w drzwiach zjawia się Różia.

– Pani kierowniczka wołała?

– Okno. Zamknijcie wreszcie to okno. Czyż Różia nie słyszy. – Dziewczyna wzrusza ramionami. Trzy lata jest już tutaj i jeszcze nie zdążyła się oszlifować.

– A bo jak szefowa zacznie rozrabiać, to choćby bomby leciały... – Nadśłuchuje, rumieńce blakną, potem spływają bez reszty. – Ale... – przełyka głośno ślinę – to przecież na piętrze.

Hrynowska udaje, że nie rozumie.

– Więc co z tego?

– Na piętrze – powtarza – może akurat w dziewiątce... – głos załamuje się – przysięgłabym, że właśnie tam... Ja... ja... za Boga...

– Dosyć! – ucina ostro Hrynowska. Takie rzeczy trzeba ucinać ostro. – Proszę nie opowiadać głupstw. Różia doskonale wie, że w dziewiątce wszystko pozamykane.

Potrząsa z uporem głową. W oczach wyraz przestrachu.

– Ja nic nie wiem... Skąd mogę? Dziewiątka... – tarmosi sztywne płótno fartucha.

– Nonsens. Sama Różia zamykała. Nikt później nie wchodził.

– Dziewiątka...

– Nie może być dziewiątka. Niech Różia się opamięta.

– A jeżeli... – i jest bardzo blada. – Ja... tam... – przesuwając językiem po wargach.

– Dobrze – Hrynowska woli nie przeciągać struny. Jeszcze tylko brakowało ataku hysterii. – Niech Różia sprawdzi w innych pokojach. Najpewniej będzie siódemka. Trzeba przypilnować Trąbę, żeby ten rygiel doprowadził do porządku. Już pani generałowa się skarżyła. Ale Różia myśli tylko o jednym.

– A jeśli nie w siódemce i nie w innych?

– Wiatr – Hrynowska gładzi rozłożony na biurku arkusz – gdyby się okazało, że wiatr otworzył okno w dziewiątce, proszę przyjść po mnie.

Trzaskają jedne drzwi, potem drugie, teraz okno. Znowu drzwi. Okno już więcej nie łomocze. Oczywiście, że nie w dziewiątce. Hrynowska dotyka torebki i znowu się spostrzega. Żeby takie historie z Rózią. Wszystkie się wystraszyły, wydawało się jednak, że Różia najmniej. Ile jeszcze czasu będzie musiało potrwać zanim życie w Naukowie wróci do normy?



Dookoła wciąż pełno odgłosów. Świat skrzypi w wiązaniach. Hrynowska podnosi głowę. Główną aleją jedzie samochód. Stąd nie widać głównej alei. Okna kancelarii wychodzą na przeciwległą stronę. Hrynowska sztywnieje w swoim fotelu. To nie mogą być goście. Tu nie przyjeżdża się bez uprzedzenia. Wóz hamuje piskliwie, musi być chyba w nie najlepszym stanie. Słysząc, jak Magda mówi: wyjdź ty. Rózia idzie. Bez pośpiechu. Ona się nie lubi spieszyć. Męski głos. Hrynowska od razu poznaje: Lalewicz. Jeszcze ktoś drugi. Chyba żaden z tych, którzy byli tu w tamten piątek. Prokurator? Kieruje wzrok na drzwi, wyczekując. Wypadałoby nienaturalnie, gdyby słysząc nadchodzących, wlepiła oczy w rachunki.

Wchodzą. Tego drugiego Hrynowska widzi po raz pierwszy. Szczuplejszy od Lalewicza, przerasta go o dobre kilka centymetrów. Chyba jeszcze zupełnie młody. Dla Hrynowskiej każdy poniżej czterdziestki jest zupełnie młody. Lalewicz uśmiecha się, cywilny garnitur nie krępuje go, jeżeli się nie wie, trudno zgadnąć, że nie jest jego stałym ubraniem. Obcy też po cywilnemu, Lalewicz przedstawia:

– Kapitan Zieliński z Komendy Głównej – nie potrzebuje dodawać o milicji. To i tak nie budzi wątpliwości.

Hrynowska wita się powściągliwie. To nie jest towarzyska wizyta.

– Wciąż jeszcze ta sprawa? – pyta zdawkowo. Musi panować nad sobą. Stan jej nerwów nikogo nie obchodzi.

– Niestety – potwierdza z ubolewaniem Lalewicz – powstały pewne, hm, wątpliwości. Chcieliśmy niektóre rzeczy skonfrontować z realiami.

My? Hrynowska nie patrzy na żadnego z nich. Lalewicz nie ma z tym nic wspólnego. Oznajmił jeszcze w tamten piątek: „Wypadek losowy. I nawet architekta trudno winić. Przez trzydzieści lat nic się nikomu nie stało”. Wątpliwości przywozi ten kapitan z Warszawy. Więc wszystko znowu się zacznie od początku. Kanciasty kamień uciska boleśnie lewy bok. Nieprzespana noc, wiatr, no i przecież to, co się stało w pokoju numer dziewięć – ona jest już starą kobietą. Coraz częściej czuje jak bardzo starą.

– Czy tamten pokój został przez kogoś zajęty? – pyta matowo Lalewicz. – Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zdążył się tam wprowadzić. – Nie jest z siebie zadowolony. Może nieco zbyt pochopnie kazał zdjąć pieczęcie i oddał pokój do dyspozycji Hrynowskiej. Więc cóż. Nie przewidywał żadnych komplikacji z umorzeniem dochodzenia.

– Nie – obie ręce Hrynowskiej leżały płasko na biurku. Były zupełnie spokojne. – Tamten pokój nie został przez nikogo zajęty. Żaden pokój na piętrze nie jest zajęty. Sądzę, że musi jeszcze sporo czasu upłynąć, zanim wygasną opory psychiczne przed wypoczywaniem w sąsiedztwie miejsca tragicznej śmierci. Dla samego pokoju numer dziewięć czas ten będzie na pewno znacznie dłuższy...

Zieliński jest w Naukowie po raz pierwszy, ale na tym odcinku mógłby się swobodnie poruszać, zamknawszy szczelnie oczy. Ze schodów korytarzem na prawo. Po przejściu czterech kroków, czyli trzech metrów, po lewej ręce siódemka, w której mieszkali wtedy generałostwo Ręczler, po prawej łazienka, dwa kroki dalej ubikacja. Do drzwi przedpokoju, przecinających w poprzek korytarz, było niespełna siedem kroków. Z przedpokoju: na lewo wejście do ósemki, na prawo do dziewiątki. Wymiary pokoju numer dziewięć: trzy na cztery, przy czym krótsze są ściany poprzeczne. Lewa ściana jednolita, tylko na długości stu dwudziestu centymetrów. Dalej oszklone drzwi na balkon i trójskrzydłowe okno. Pod metalowym parapetem potężna bateria grzejników, jak przystało na narożny pokój wolnostojącego budynku. Pomiedzy oknem a drzwiami wejściowymi: kwadratowy stolik przykryty lnianą serwetą. Na nim ceramiczny wazon nastroszony wiechciem zeschłych badyli, wazon pochodzi chyba gdzieś z lat dwudziestych. Przy stole dwa gięte krzesła. Ściana przeciwległa do drzwi – pozbawiona otworów.



Przy niej kolejno od ściany balkonowej w lewo szaragi, szafka nocna w stylu starszych mieszkań, metalowe łóżko z białą lakierowanymi prętami, wreszcie leniwiec. Jego poręcz dotyka kafli zwalistego pieca. Górne i dolne drzwiczki w piecu zamknięte. Na prawej ścianie, w odległości stu pięciu centymetrów od pieca, szafa w murze. I niemal bezpośrednio futryna, obok futryny: płytowe drzwi umywalni. Klamka jak klamka. Nic nie wskazuje, że nie posiada odpowiednika po tamtej stronie. Tę właśnie klamkę nacisnęła Hrynowska w tamten piątek. Teraz wystarczy pociągnąć. Na polecenie Lalewicza wymontowano sprężynę. Nie ma także wieszaka. Tylko dwa otworki znaczą miejsce, gdzie był przykręcony.

Lalewicz wzrusza lekko ramionami.

– Zgodnie z obyczajem narodowym po szkodzie. Ale rekwizyty pod ręką. Jeżeli KG ma życzenie...

Zieliński odchrząkuje nijako. Sprężyna, wieszak, te rzeczy były potrzebne dopiero w momencie szczytowym. Nie wierzy, by zaplanowany eksperyment miał aż do tego momentu doprowadzić. Lalewicz, rzecz jasna, nie jest zachwycony. Nikt nie jest zachwycony, gdy mu stawiają robotę na głowie. Ale zadaniem Wydziału było stawianie na głowie tego, co nie stało dostatecznie mocno na nogach.

Na oko nisza wydaje się jeszcze płytsza, niż jest. Niełatwo uwierzyć, że ktoś może się w niej zmieścić. Ano zmieścił się. Do tego Steiner wcale nie był chudy.

W niszy czuć jeszcze nikły zapach chemikaliów. Po ośmiu dniach. Cyklon, psiakrew. Nawet było coś w prasie. Zieliński nie przypomina sobie szczegółów. Trzeba będzie ustalić. Mogą nie być pozbawione znaczenia.

Szafka nocna, łóżko, leniwiec, to wszystko na swoim miejscu. Krzesła za to tak, jakby...

– Stolik chyba został przesunięty?

Lalewicz sprawdza ze szkicem.

– Hm... tak. Trochę. – Co on tu będzie czarować... Przesławia jednak.

– Wazon! – woła Zieliński.

Wazon o mało nie poleciał, Lalewiczowi udało się podtrzymać go w ostatniej chwili. No cóż, zachwiał się. Znaczenie tego faktu jakoś do niego nie dociera. A przecież na szkicu dałoby się przeprowadzić od drzwi wejściowych do okna linię, która przechodziłaby dokładnie przez środek wazonu.

– Teraz co do milimetra – otrzepuje z palców drobiny pokruszonego suszu. Problem wazonu wciąż dla niego nie istnieje. Wyjmuje extra mocne, tym razem zaopatrzył się, podsuwa gościowi. Ten uznaje tylko z filtrem, ssie swoje silesie. Dobre i to.

– I tak montujemy rekwizyty?

– Może. Ale to następny etap.

Lalewicz przysiadł bokiem na krześle. Następny etap. Dobre. Ile właściwie on sobie tych etapów planuje? A przesłuchania w Wielkiej Gospodarczej idą non stop. Potem pewno bez mózgu elektronowego się nie obejdzie. Ale rzecz jasna nadzór musi szukać dziury w całym. Nadzór musi się wykazać.

– A tak między nami, co w Warszawie nie gra?

– Nie wiem – Zieliński patrzy na wazon – nie wiem, czy nie gra. Ale nie jestem wcale pewien, czy gra.

– Unik? – przymruża oko Lalewicz.

– Ależ nie. Ja za kawaławałologią. A więc przeciąg.

– Mówiąc szczerze, nie bardzo rozumiem. Przeciąg przecież był.

– To nie ulega wątpliwości.

– Hrynowska mówi: głowę człowiekowi urwało.

– Ale jakoś nie urwało.

– Za to zatrzaskały drzwi umywalni.

– Hm... Mnie przy tym nie było.  
– Drzwi jednak zatrzasnęły się.  
– Fakt. Był przeciąg, drzwi się zatrzasnęły. Ale ja chciałbym zobaczyć, jak to się ze sobą pożyło. Chciałbym zobaczyć, jak ten przeciąg zamykał te drzwi.  
– Nie ten przeciąg, tylko gdy otworzono na dole.  
– W porządku. Pamiętam. No więc urządzimy przeciąg, aż głowy będzie urywał, i otworzymy na dole.  
– W takim razie jednak tę sprężynę – już się chce zrywać, biec montować. Aby prędzej. Bo tam na Komendzie młodociany Turek z dojrzewającym prokuratorem warzą kocioł czarownic.

Zieliński go powstrzymuje:

– Tymczasem popatrzmy, czy w ogóle zadziała.

Hrynowska kuli się pod ścianą. Żałosna imitacja tamtej Hrynowskiej, która ich przyjmowała w kancelarii.

– Proszę się dokładnie rozejrzeć – mówi Zieliński – czy wszystko jest tak, jak wtedy, gdy pani weszła do pokoju.

Niby to się rozgląda, ale czyni to, aby zbyć. Na pewno niewiele można w taki sposób stwierdzić.

– Tak... – przesuwając ręką po włosach, potem splata obie ręce, potem dotyka dużej broszki z kameą, spinającej kołnierz bluzki. Ręce są niespokojne i cały czas w ruchu: – Chyba tak.

– Stolik i wazon też?

– Ja... – zupełnie jakby chciała się wcisnąć w mur – nie mogę tego stwierdzić. Nie przyglądałam się specjalnie. Potem mogli przestawić w czasie sprzątania.

– Nas interesuje, czy pani czegoś nie przestawiła przed przybyciem milicji.

– Ja?

– Niekiedy takie rzeczy robi się zupełnie bezwiednie. No, może uważała pani, że coś stoi nie tak, jak powinno.

– Ach nie. W pokoju, w którym ktoś już mieszka, to nie. Tutaj niczego nie dotykałam. Tylko ku drzwiom balkonowym, potem z powrotem. Spieszyłam się, nie znoszę przeciągów. Zamknęłam przedpokój i wtedy do umywalni, bo ten zapach...

– Czy pani po drodze do drzwi balkonowych nie potrafiła stolika?

– Nie. Dlaczego bym miała potrafić?

„Co on tak z tym stolikiem?” – złości się Lalewicz. Nie potrafi schwytać pointy, a jakaś przecież musi być. Nie ten szczebel, żeby gadać byle co. Ustawia drzwi umywalni pod takim kątem, aby podmuch objął jak najszerszą płaszczyznę. Sprawdza kącikiem oka. Bez obaw, czcigodna KG, zadziała. Zadziała jak wszyscy diabli. Dzisiaj też wieje na całego.

– Możemy zaczynać – oznajmia Zieliński. Hrynowska opiera się ciężko o futrynę. Ma wyraz twarzy człowieka, który szykuje się do skoku w przepaść.

– Róziu – woła wysiłonym głosem – drzwi.

Słychać, jak się otwierają na dole. Wionęło na potęgę. Rzeczywiście jakby głowy miało urywać.

– Wazon! – Hrynowska wyciąga ręce, by złapać w locie. Nie zdąża. Wazon rozpryskuje się o podłogę w odłamki glinianych czerepów. Z suchym trzaskiem kruszą się badyle. Na jasnym parkiecie rozlana kałuża cuchnącej zbutwieniem wody.

– Poszedł – Zieliński gładzi się po podbródku – otóż to. Za to drzwi umywalni...

Lalewicz patrzy z ukosa. Ani drgnęły. Ale co z tego wynika. Znalazł się magik od przeciągów.

– Widocznie wtedy podmuch był silniejszy...

– Hm...

– Bez porównania silniejszy – zabiera nieoczekiwanie głos Hrynowska. – Działo się coś potwornego. A przecież na dole było pozamykane. Wiatr był bardziej porywisty. Więc przeciąg... Przeciąg też...

Zieliński przygląda się jej z uwagą.

– Jest pani tego pewna?

– Tak... Wiry... Wprost trudno sobie wyobrazić. Dzisiaj nawet w drobnej części...

– A... wazon? – Zamrugła powiekami.

– Wazon?

– Tak. Jego równowagę można by zaliczyć raczej do chwiejnych. Przed ośmioma dniami kwiaty były świeże. Ciężar bukietu jeszcze bardziej tę równowagę zmniejszał. Pani mówi: podmuch wtedy był bez porównania silniejszy. Ale wazonu nie wyrzucił.

– Cholera – Lalewiczowi przestaje nagle smakować papieros.

Hrynowska milczy. Twarz jej ściąga żalosny grymas. Jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. Zieliński obserwuje ją spod oka. Co jest właściwie z tą kobietą?

– No, więc – ponagla – może pani zechce wyjaśnić, jak pani sobie to wyobraża?

– Ja... – usiłuje przełknąć coś, co jest niezmiernie trudne do przełknięcia – ja... zaraz.

– Podmuch... tak, podmuch był silniejszy. A wazon... Przepraszam. Trudno mi zebrać myśli. Ja weszłam, w pokoju szalał potworny przeciąg... A wazon... tak, wazon leżał przewrócony na stoliku...

– Przewrócony? – Zieliński frasobliwie trze podbródek kostkami palców. – Przewrócony?

– Wiatr... Chciałam powiedzieć przeciąg. Pewno wtedy, jak te drzwi na dole... Pan pytał, czyja czegoś nie przestawiałam albo... W pierwszej chwili mi jakoś... Ale ja ten wazon... Odruchowo... Tak, całkiem odruchowo... Więc ja ten wazon postawiłam z powrotem i... – nagle urywa. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, na co patrzy Zieliński. Bezkształtna plama zielonkawej wody odbija obcym akcentem od nienagannie czystej posadzki. Hrynowska blednie jeszcze bardziej. Końcem języka zwilża wargi. – To... – splata ciasno dłonie. – Proszę mi wybaczyć. Ja... Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czy nie można by... zamknąć drzwi?

– Ależ oczywiście.

O mało mu nie wyrwało klamki z rąk. Szyby oddzwoniły cienko. Hrynowska wlepiła oczy w rumowisko na podłodze. Lalewicz szuka czegoś na suficie. Jest bardzo nieprzyjemnie.

– Na wietrze – mówi cicho Hrynowska – czy w przeciągu... nie można brać pod uwagę tego, co mówię... Jestem na wpół przytomna.

Zieliński podnosi ociężałym ruchem głowę.

– Kwestia wazonu?

– Nie mógł leżeć przewrócony. Woda. Teraz, gdy jestem w stanie zebrać myśli, jest to dla mnie oczywiste. Nie pojmuję, skąd wzięłam całą tę historię. Nagle wydało mi się, że sobie przypominam obraz leżącego na stole wazonu. Podchodzę, stawiam go, porządkuję kwiaty. Ja to wszystko widziałam. Widziałam niezmiernie plastycznie. Tylko że tego nie było.

– W takim razie – Zieliński wciąż nie zapala wsadzonego do ust filtra – również nie może pani być pewna, czy nie przesunęła tego stolika.

– To prawda – przyznaje jakby z poczuciem winy – nie mogę być pewna.

– Chwilami – Lalewicz patrzy gdzieś w bok – obawiałem się, że Hrynowska nie wytrzyma tego hm... przesłuchania.

Zielińskiego dręczy niesmak. Nie było na sto procent fair. Na pięćdziesiąt także nie.

– Była zdumiewająco rozstrojona – potwierdza zdawkowo. – Ballada o latającym wazonie... – strzepuje palcami.

– To jest stara kobieta – stwierdza sucho Lalewicz.

– Nie zauważyłem objawów sklerozy. Zresztą prowadzenie tego rodzaju zakładu... – Wprost chorobliwie uczulona na przeciągi. Bywają ludzie chorobliwie uczuleni na takie czy inne bodźce.

– Przeciąg – Zieliński zdejmując okruch zeschłego liścia z kłapy swej marynarki – to prawda. Przykro mi, że dostrzegłem to dopiero pod sam koniec.

– Podkreślała już przy pierwszym przesłuchaniu.

– Nie było mnie przy pierwszym przesłuchaniu. Natomiast w protokole... – Wyjmuje z ust papieros z odklejonym filtrem. Zamierza go położyć na popielniczce. Rozmyśla się. Rzuca do kosza na śmieci.

Lalewicz usiłuje sobie przypomnieć treść protokołu.

– Nie zostało zanotowane?

– Och – Zieliński przebiera w paczce silesii z takim namaszczeniem, jakby od tego zależały losy świata – nie mam zwyczaju stosowania metod trzeciego stopnia. – I jednocześnie zdaje sobie sprawę, że to, co robił przed chwilą, niewiele od takiej właśnie metody odbiegało. – Tak czy inaczej kryptonim „wazon” wpisują tymczasem na konto alergii. Przeciąg zresztą, poza pogwałceniem starszej pani, nie zagrał.

– Nie. – Lalewicz przysiadła na poręczu leniwca. – I czego to dowodzi?

– Że nie zamknął drzwi od umywalni.

– Genialnie. Skoro dziś nie, to czy w ogóle też nie? Hrynowska już nie wyklucza, że mogła nieświadomie przesunąć stolik. Przypuśćmy, że w momencie głównego podmuchu stał poza jego granicami. Hrynowska przesunęła stolik już po zlikwidowaniu przeciągu. W rezultacie podmuch mógł być znacznie silniejszy.

– Mógł – zgadza się obojętnie Zieliński – tylko że to nic nie daje.

– Nie rozumiem. – Lalewicz rozciera kostki palców. – Podstawa waszych wątpliwości, że podmuch wtedy nie był silniejszy...

– Nie – przerywa Zieliński – przed chwilą powiedzieliście: „poza granicami podmuchu”.

– Poza granicami? – patrzy z wysileniem na niszę, już jest przy wejściu do przedpokoju, mruży oko, celuje wyciągniętym ramieniem. – Cholera! Najłatwiej, że przeciąg i odfajkować, ale który ten przeciąg... Piec! – woła nagle, jakby wołał ratunku. – Jeżeli drzwiczki były otwarte i Hrynowska je zamknęła w ramach likwidacji przeciągu... Wyobrażacie sobie przekrój luzu w takiej kolumbrynie?

– Owszem. Tylko że też poza granicami. Drzwi umywalni pozostawały od podmuchu na balkon o metr dziesięć. Od ewentualnego ciągu na piec około dziesięć centymetrów.

– To niedużo.

– Nie. Ale wystarczy, żeby nie drgnęły.

– Podmuch mógł się odchylić.

– Nie mógł. Nie było powodu.

– Tak powiedziała KG? – Lalewicz zaczyna ponosić.

– Tak orzekł biegły.

Biegły. Lalewicz myśli o straconej twarzy. Biegły z zakresu aerodynamiki. Cóż prostszego. To on powinien o tym pomyśleć. Teraz podtykają pod nos. Pruj, bracie, spartoliłeś. To zawsze tak, jak się człowiek zapatrzy na jakąś jedną sprawę.

– A więc nie przeciąg?

– Aż do przeciwnego dowodu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI